



Jan

# HIMILSBACH

OPOWIADANIA ZEBRANE



Jan Himilbach

## OPOWIADANIA ZEBRANE

Wydawnictwo Estymator

[www.estymator.net.pl](http://www.estymator.net.pl)

Warszawa 2023

ISBN: 978-83-67769-96-9

Copyright © Michał Ruszczyk

Tekst: Vis-a-vis Etiuda, Kraków 2019

## **Spis treści**

[Chrzcziny](#)

[Nasza ulica](#)

[Monidło](#)

[Cyrk](#)

[Skarbuś](#)

[Pogrzeb](#)

[Grób rodzinny](#)

[Droga kariery](#)

[Miasto zesłańców](#)

[Kombatanci](#)

[Partanina](#)

[Działka rosyjskiego boga](#)

[Przyjęcie na dziesięć osób plus trzy](#)

[Skarga](#)

[Marcus Fajera](#)

[Żydowski pojedynek](#)

[Łzy Sołtysa](#)

[Baca](#)

[Zima stulecia](#)

[Party przy świecach](#)

[Świca](#)

[Sroka](#)

[Wawa](#)

[W imieniu prawa](#)

[Policmajster Kielak](#)

[Kara Boża](#)

[Dziewczyna](#)

[Ślub w agonii](#)

[Hrabia](#)

[Florka](#)

[Cacko z dziurką](#)

[Baśka brudas](#)

[Dobrodziej](#)

[Człowiek po przecenie](#)

[Arkadia](#)

[Miesiąc miodowy przed ślubem](#)

[Walec](#)

[Fabrykant sznurka](#)

[Wielki byznes](#)

[Sprawa Jarzębowski](#)

[Raj na ziemi](#)

[Kochankowie z Werony](#)

[Heńka Bulbes and Company](#)

[Zezowaty](#)

[Oszukane godziny](#)

[Studenci](#)

## Chrzcziny

Przyszedłem na świat pierwszego maja o trzeciej po południu. Tak przez jakiś czas mówiła mi moja matka, kiedy chodziła naprzeciwko do starego krawca męskiego, Grymberga, posłuchać, co ciekawego o Polsce mówi Moskwa.

Potem najmłodszy Szczeblewski, wracając po służbie ze stacji do domu, po chamsku zaczepił moją matkę pod kinem i wpakował się do naszego mieszkania, mimo nieśmiałych protestów matki, i nie proszony został nawet na noc, a naprawdę nie było na czym spać, bo w mieszkaniu stało tylko jedno łóżko, na którym sypiałem razem z matką. Szczeblewski, któremu matka powiedziała w pewnym momencie, żeby poszedł już sobie – do domu ma całkiem blisko, a robi się już późno i pora iść spać – odparł spokojnie, że nie ma się czym przejmować, on widzi wyjście z sytuacji. Ściągnął z siebie wielki płaszcz kolejarski, odwrócił podszewką do wierzchu i rzucił na podłogę. Spojrzał na mnie, uśmiechnął się, zrobił ze mnie przymiarkę i powiedział z zadowoleniem:

– Zmieści się. Stasiowa, daj mu pod głowę jakąś poduszkę i kawałek koca, żeby w nocy nie zmarzł.

Musiałem położyć się na jego płaszczu, bo tak mi nawet matka kazała. Ale nie zasnąłem. Przez całą noc nie zmrzyłem oka i nasłuchiwałem, o czym rozmawiali między sobą na wąskim i skrzypiącym łóżku.

Następnego dnia wylegiwali się do południa, a kiedy porządnie zgłodnieli, Szczeblewski, nie podnosząc się, kiwnął na mnie palcem. Podeszedłem zapatrzony na niego jak na wilka. Kazał podać sobie spodnie, sięgnął do tylnej kieszeni i wyciągnął pieniądze. Odliczył kilka złotych i podał mi je mówiąc:

– Masz tu, trzymaj. Pójdziesz do sklepu Osetowskiego, kupisz ćwiartkę, kilo chleba nałęczowskiego, ćwierć karczewskiej i dla matki dwadzieścia machorkowych, resztę możesz wziąć dla siebie.

Nie chciałem wziąć od niego pieniędzy i wtedy wtrąciła się matka:

– Bierz, Stasiu, jak ci pan daje, i kup, co masz kupić. – Pogłaskała mnie przy tym po głowie.

Chcąc się uwolnić od jej wymuszonych pieszczot, wziąłem pieniądze i wyszedłem na miasto, a gdy wróciłem z porobionymi zakupami, Szczeblewski chodził już po mieszkaniu boso, podkurczając wielkie, brudne palce u nóg. Miał na sobie tylko spodnie i podkoszulek, rozglądał się, w czym mógłby się umyć, a matka, w dalszym ciągu słodko rozciągnięta na łóżku, wodziła za nim zamglonym spojrzeniem.

Po śniadaniu Szczeblewski powiedział matce, żeby wyjrzała oknem, czy nikt się nie kręci na podwórku, bo nie chce, żeby go widziano, jak będzie od niej wychodził. Kiedy wreszcie wyszedł z mieszkania, chyłkiem niczym złodziej, matka przygarnęła mnie do siebie i zaczęła tłumaczyć, że chłopiec w moim wieku powinien słuchać się ludzi starszych, bo są mądrzejsi, i ja nie powinienem boczyć się na Szczeblewskiego i patrzeć na niego jak na zbója, bo Szczeblewski to jest towarzysz.

Od tego dnia Szczeblewski przychodził do nas, kiedy tylko przyjechał z drogi. Za każdym razem przynosił na plecach w worku brykiety na ogień, a w swoim kolejarskim skórzanym kuferku zawsze trochę smalcu lub masła i bochenek chleba.

W naszym domu zaczęło powodzić się coraz lepiej. Był chleb, na chleb smalec, masło, kawałek słoniny już się nawet znalazł. Matka za żarcie kupiła z getta kilka letnich sukienek i chociaż zima w drugim roku wojny była taka, że nawet najstarsi ludzie nie pamiętali podobnej, chodziła w tych sukienkach po mieszkaniu, paradując przed Szczeblewskim jak jakaś modelka, stawiając niepewne kroki w nowo nabytych pantoflach na wysokich obcasach.

Kiedy tak się sprawy ułożyły, matka zaczęła wszystkim naokoło opowiadać, że los się do niej uśmiechnął. I rzeczywiście, w domu zmieniło się na lepsze. Przestałem chodzić głodny i obdarty, jak było do tej pory. Nosilem wtenczas wojskową rogatywkę z orzełkiem, latającą mi dokoła na małej i jajowatej głowie, mundur z pagonami w stopniu starszego sierżanta i nieco przydługie jak na mnie cąjgowe spodnie. Jedyne, co mówiło o niezupełnym dostatku w naszym domu, to to, że na nogach miałem wciąż te same drewniaki, darowane mi w pierwszym roku wojny przez przedstawiciela firmy „Bata”.

Szczeblewski coraz częściej przychodził do nas i ja coraz częściej musiałem spać na jego kapocie. Spostrzegłem jednak, że coś musiało się u Szczeblewskiego popsuć, bo przychodząc do nas nie zawsze już, jak przedtem, przynosił ze sobą wałówki, a kiedy zupełnie je przestał przynosić, stara Szczeblewska przyszła z pretensją, że matka jej syna zabrała i ona na stare lata musi chodzić po znajomych z wyciągniętą ręką, żeby jej dali, co im z nosa spadnie.

Matka z początku tłumaczyła starej Szczeblewskiej jak człowiek człowiekowi, że syna jej nie zabiera, bo on sam przychodzi nie proszony, a co do tego, że coś tu przynosi, to wielka bujda. Stara była nieustępliwa, nie słuchała, wciąż wyjeżdżając ze swoim, w końcu matka zdenerwowała się i wypchnęła Szczeblewską za próg i zamknęła za nią drzwi na haczyk.

Nie wiem, nie jestem pewny i w stu procentach powiedzieć nie mogę, ale wszystko przemawia za tym, że kiedy skończyła się znajomość ze Szczeblewskim, matka zmieniła swoje poglądy. Teraz nie mówiła już, że urodziłem się pierwszego maja o trzeciej po południu, w dniu święta klasy robotniczej, z czego powinienem być dumny – ale trzeciego maja. Dzień Konstytucji też co prawda święto, ale zupełnie inne. Nie wiem, jaki miała w tym cel, czyniąc mnie młodszym o dwa dni.

Kiedyś zupełnie niespodziewanie, już po godzinie policyjnej, zapukał ktoś do naszych drzwi raz i drugi. Matka podeszła otworzyć, do mieszkania wtoczył się podchmielony Szczeblewski, ale rozmowa z nim trwała krótko. Kiedy zaczął krzyczeć, że upaśła się na jego chlebie, matka złapała chłopca mocno za kark i nim się zdążył zorientować, o co chodzi, stał już za drzwiami, skomląc jak mały piesek, żeby wpuściła go do środka. Matka była jednak nieustępliwa, zresztą nie mogła go wpuścić, bo od jakiegoś tygodnia przychodził do nas, a raczej wpadał na chwilę, opasły i rudy Niemiec sudecki, który tak samo jak Szczeblewski zaczął matkę na ulicy i powiedział, szczerząc w uśmiechu poźółkłe zęby: „Froilajn, paninka, komen szpacyjren.”

Niemiec nazywał się Fryc Nowiczek i jak sam twierdził, był wrogo nastawiony do Hitlera, a do wojny przede wszystkim, bo na własnej skórze odczuł, co ona znaczy. W roku czternastym dostał Fryc kulą w bok na francuskim froncie i od tamtej pory, gdy tylko zanosi się na zmianę pogody, przez kilka dni łamie go w gnatach. Teraz jeśli jest w wojsku i nosi mundur z gapą, to nie dlatego, że sam tego chciał, ale siłą wpakowano go w ten mundur.

Fryc, choć Niemiec i człowiek zupełnie obcy, bardziej mi przypadł do gustu od Szczeblewskiego, który znał mnie od dziecka i mieszkał na sąsiedniej ulicy. Fryc za pierwszym razem, kiedy tylko do nas przyszedł, od razu zwrócił na mnie uwagę. Złapał mnie za głowę i nie pamiętam już dokładnie, ale wydaje mi się, że w żartach – rąbnął mnie o podłogę, a kiedy oszołomiony i potłuczony dźwignąłem się z niej bliski płaczu, po cwaniacku puścił do mnie „perskie oko”, czym szczerze mnie rozśmieszył. Zwracając się do „frau”, to znaczy mojej matki, powiedział, że takich jak ja trzech zostawił w domu i od dwóch lat już ich nie widział.

„Frau” uśmiechała się do Fryca jak przed obiektywem aparatu fotograficznego i nic tylko wciąż kiwała potakująco głową, że wsio panimajet, a Fryc chodził po mieszkaniu, dotykając czubkiem głowy sufitu, i rechotał z zadowoleniem, poklepując matkę po pośladkach. „Malaka! Malaka!” Żądał mleka, zresztą słusznie, bo przynosił je co rano w wielkiej czterolitrowej bańce, z którą za dobrych przedwojennych czasów latałem na Piaski

do mleczarni po maślanekę. Fryc, w przeciwieństwie do Szczeblewskiego, trzymającego mnie z matką wiecznie na suchym prowiancie, przynosił do domu mleko, cukier, ser szwajcarski z wielkimi dziurami i nierzadko czekoladę w metalowym pudełku, pomalowanym na kolor ochronny. Matka miała własne, odmienne niż sąsiedzi, zdanie na temat Fryca. Ludzie zarzucali jej, że skoro nie może już bez chłopa i musi coś ze sobą zrobić, to jako patriotka i antyfaszystka powinna znaleźć sobie kogoś z lasu, gdzie zwłaszcza ostatnio partyzantów namnożyło się jak grzybów po deszczu. Walczą oni w imię lepszej przyszłości, śpią na ziemi pod gołym niebem, nie bacząc na głód, brud i robactwo, co łązi po nich stadami.

Tym wszystkim, co tak uważali, matka zawzięcie i niezmordowanie tłumaczyła, że znajomość z Frycem ma charakter nie tyle patriotyczny, co propagandowy.

Zdarzało się niekiedy, że matka od podpitego Fryca wyciągała jakąś wiadomość, nie stanowiącą z zasady żadnej tajemnicy państwowej ani strategicznej, i nie wnikając w jej prawdziwość, puszczała ją na miasto. Po kilku godzinach ta sama wiadomość niczym bumerang wracała do matki, w nieco innej, zmienionej formie. Zazwyczaj były to wiadomości z frontu oddalonego od nas o setki kilometrów i nikt takiej wiadomości nie mógł sprawdzić, ale sam fakt, że przyniósł ją Niemiec, stanowił dla ludzi wielkie wydarzenie. Ludzie chodzili po ulicach i innym spojrzeniem patrzyli już na Niemców, w wielkiej tajemnicy powtarzali sobie te wiadomości z ust do ust.

Pewnego razu matka dowiedziała się od Fryca, że Niemcy zamierzają przeprowadzić w mieście spis mieszkańców i co zdrowszych wywieźć na roboty do Niemiec. Początkowo nikt nie chciał w to uwierzyć, ale kiedy rzeczywiście dokonano spisu, być może w innym celu, nie związanym z wywózką, a pech chciał, że z drugiej strony kilka rodzin z miasta wyjechało ochotniczo na lepszą robotę do Niemiec, gruchnęła wiadomość, że Niemcy wywożą ludzi całymi rodzinami, razem z dobytkiem.

Zacząło się to, czego matka nie przewidziała. Ludzie, nawet z najdalszych zakątków miasta, nie wiadomo jakim cudem dowiadywali się naszego adresu i ściągali całymi gromadami, aby dowiedzieć się czegoś nowego. „Co będzie jutro?” Na to pytanie nie tylko matka, ale i sam Fryc nie mógł powiedzieć nic pewnego, chociaż matka maglowała go na wszystkie strony, jak tylko mogła. Wbrew własnej woli stała się ona dla nich połączeniem wróżki i szpiega. Taka rola spodobała się nawet matce, ale szybko zrozumiała, jak bardzo jest niebezpieczna. Tym bardziej że znajomy matki, niejaki Peterson, Ukrainiec na usługach Niemców, zaczął się nią interesować. Ludzie dali matce spokój na jakiś czas, bo wydało im się, że jeśli sama nic nie mówi, to wymaga tego praca konspiracyjna. Pech chciał, że w niedługim czasie matka umarła na zapalenie płuc. Stało się to w momencie, kiedy Niemcy coraz częściej łązili pod naszym oknem.

Kiedy Fryc spostrzegł, że matka nieco zaniemogła, znalazł sobie inną babę, czego od samego początku należało się spodziewać. Matka umarła nagle i niespodziewanie. Wczoraj ludzie widzieli ją jeszcze na ulicy, rozmawiali z nią, a dzisiaj Mańka Pędzel, jedyna przyjaciółka matki, latała od parafii do magistratu, załatwiając akt zgonu. Ludzie powtarzali sobie w tajemnicy, że Fryca Niemcy rozwalili w żwirowni za miastem, a moja matka otruła się cyjankiem, kiedy Niemcy walili kolbami do naszych drzwi i wołali: „Aufmachen, aufmachen!”. Pogrzeb odbył się na miejscowym cmentarzu. Przyszło zaledwie parę osób. Znalazł się Sybirak, który w młodości, za czasów carskiej Rosji, należał do jakiegoś koła miejscowych terrorystów i zastrzelił, jadącego dorożką do burdelu, rosyjskiego pułkownika. Sybiraka pojmano i zesłano na katorgę, wrócił z niej po piętnastu latach, bez zębów, z kilkoma tylko pienkami w górnej szczęce. Przyszła rodzina Tatarów składająca się z trzech kobiet, i oczywiście Mańka Pędzel, która zajęła się od ręki całym pogrzebem, żeby po wszystkim mieć śmiało oko przed ludźmi w zabieraniu starych gratów z naszego domu, które jej zdaniem były niezbędne w umeblowaniu własnego mieszkania.

Na cmentarzu, kiedy grabarz Żelazowski usypywał matce mogiłę, Mańka Pędzel, przypalając sobie wielkiego cybucha, spojrzała na mnie i tak, ażeby wszyscy słyszeli, powiedziała:

– A co z tobą pierdoło? Zostałeś sam na tym bożym świecie jak ten palec. Co z tobą teraz będzie, dokąd pójdziesz?

– Do sierocińca trzeba by go oddać – zauważyła najstarsza Tatarka.

Mańka Pędzel spojrzała na nią swoimi pięknymi czarnymi oczami i nie wyjmując cybucha z ust, powiedziała z wyrzutem Tatarce, żeby do sierocińca oddała swoje dzieci, których nie ma czym wyżywić i muszą każdego dnia chodzić od domu do domu za kawałkiem chleba. Potem Mańka wzięła mnie mocno za rękę i pociągnęła za sobą. Szliśmy przez całe miasto, a ludzie, którzy wiedzieli o śmierci mojej matki, przyglądali się nam jak nowo pobranej parze powracającej od ołtarza w porę suszy, głodu i ognia, i nadziei się nie mogli, jak Mańka wyżywi takiego chłopaka jak ja.

Mańka, przygarniając mnie pod swój dach, i to wzięła pod uwagę, przede wszystkim to.

Następnego dnia po pogrzebie przewieźliśmy wszystko do Mańki. Kufer z podniszczoną bielizną, kapy, krzesła, stół, szafę. Resztę gratów porąbałem na ogień. Mieszkanie mojej matki Mańka wynajęła Malesinie z trojgiem bilonu, wdowie po Józefie, który spłonął razem ze swoim domem w trzydziestym dziewiątym roku.

Dopóki były pieniądze w domu, wszystko było w porządku, ale potem, kiedy forsa się skończyła i coraz częściej brakowało chleba, Mańka któregoś dnia wypchnęła mnie ze starszym nieco „Małpą” po węgiel na stację. Chodziłem na „kitę” przez całe lato. „Małpa” nauczył mnie rozmaitych sztuczek złodziejskich i wprost mistrzowskiej gry w karty ze wszystkimi możliwymi „szufladami”.

Stopniowo szczęście zaczęło uśmiechać się do mnie. Z kradzionego Niemcom węgla na stacji część sprzedawałem na lewo, a zarobione tą drogą pieniądze pomnażałem niejednokrotnie grą w karty. Mańka, biorąc mnie do siebie, ani myślała, że będę jej zawadzał w domu, wprost przeciwnie, wiedziała, że stanę się wyręką i żywicielem, jak wielu chłopców w moim wieku, którzy byli jedynymi żywicielami licznych rodzin.

Rano wychodziłem z domu, wieczorem wracałem zmęczony, bez słowa rzucałem na stół część zarobionych pieniędzy i, najczęściej nie umyty, waliłem się na wielki kufer przy kuchni, gdzie miałem swoje legowisko.

Mieszkając u Mańki, rzadko kiedy chodziłem głodny i jak na czwarty rok wojny wcale źle mi się nie powodziło. Zawsze byłem przy pieniądzach i być może nic by nie zakłóciło mojej sielanki, gdyby nie to, że pewnego razu, czekając beczynnie koło stacji na przyście pociągu z Rozrządowa, wdałem się w głupią grę na „piędzi” z zezowatym synem Badowskiego. Kiedy go ograłem do ostatniego guzika, nie wyłączając tych przy rozporku, Zezowaty, przytrzymując portki ręką, żeby mu nie opadły, zaczął wrzeszczeć jakby go zarzynano. Grożąc mu pięścią przed nosem, chciałem zmusić go do milczenia, ale on jak na złość jeszcze bardziej rozdarł mordę, i to w momencie, kiedy obok ulicą na moje nieszczęście przechodził jakiś gefrajter SS. Zezowaty podbiegł do Niemca na pewną odległość i zaczął mu coś tłumaczyć, pokazując ręką w swoim kierunku. Niemiec zrozumiał, o co idzie, nacisnął mocniej czapkę na uszy, ze sztywnej kabury wyciągnął wielkie parabellum i jak chart za szarakiem ruszył w moją stronę.

Do domu, choć miałem zaledwie parę kroków, nie mogłem uciekać, bo wtedy na pewno byłbym zgubiony. Miałem już nauczki, że w takich wypadkach ucieka się jak najdalej, w drugi koniec miasta, gdzie ludzie są sobie obcy i nikt nikogo nie zna.

Tak więc kiedy zezowaty Badowski sądził, że będę uciekał do domu i od ulicy zabiegł mi drogę – niespodziewanie dla niego i Niemca, który mimo starszego wieku i ciężkich saperek na nogach z każdą chwilą doganiał mnie coraz bardziej – skręciłem nagle w prawo za komórki i przesadziłem mur starego, zrujnowanego już kirkutu. Zanim Niemiec wdrapał się



na mur, byłem od niego w bezpiecznej odległości i wolnym już krokiem, okrężną drogą poszedłem do domu. Gdy wszedłem do mieszkania, Mańka Pędzel wiedziała już o całym zajściu.

– Trzeba będzie cię ochrzcić – powiedziała, nie wyjmując papierosa. – Nie masz papierów. Mogą cię kiedy złapać, a wtedy będzie gorzej.

W tydzień później wszystko było gotowe do chrztu. Zapięte na ostatni guzik. Ja chwilowo przestałem chodzić na stację. Całymi dniami siedziałem teraz w domu kołkiem i od rana do wieczora uczyłem się na pamięć pacierzy, to znaczy Mańka siedziała na łóżku z papierosem w zębach, trzymając na kolanach katechizm, i sylabizowała go powoli, a ja powtarzałem za nią wszystko słowo w słowo. Chcąc nie chcąc musiałem nauczyć się katechizmu na wrywyki, bo jak Mańka mówiła, narobiłbym wielkiego wstydu sobie i jej, i chrzestnym rodzicom, gdybym czegoś w kościele nie umiał odpowiedzieć księdzu, na ten przykład, jakie jest siódme przykazanie Boże.

Pani Domańska, właścicielka jedynej masarni w mieście, która od lat знаła moją matkę i mnie, kiedy dowiedziała się o moim chrzcie, w prezencie przysłała mi przez swego wuja kilka pęt końskiej kiełbasy. Ja zaś ze swych oszczędności, jakie ukrywałem przed Mańką, zrobiłem zakup kilku litrów bimbru.

Rodzicami chrzestnymi zgodzili się być: matka zezowatego Badowskiego i Dziki Janek, znany w mieście złodziej i zabijaka.

W przeddzień uroczystości Mańka wyprała moje najlepsze ubranie i wywiesiła za oknem, żeby szybciej wyschło, pożyczyła od kogoś koszulę w sam raz na mnie. Najgorszy kłopot był z butami: swoich nie miałem, a iść do chrztu w drewniakach w niedzielę... Kiedy nadeszła godzina dziesiąta, a ja w dalszym ciągu nie miałem butów, nawet pożyczonych, Mańka powiedziała:

– Pójdziesz do kościoła bez butów, na bosaka, tak jak Chrystus; teraz jest ciepło, a wszyscy wiedzą, że jesteś sierotą bez ojca i matki i nie ma kto kupić ci butów.

Punktualnie o godzinie dziesiątej staliśmy w komplecie z tyłu za kościołem przy drzwiach zakrystii: ja, Mańka, Badowska i Dziki. Najpierw chrzczono niemowlaków, tak że ze mną musieliśmy nieco zaczekać. Nie mogę powiedzieć z całą pewnością, ale coś mi się wydaje, że już wtedy chrzty odbywały się po znajomości. Najpierw chrzczono chłopskie, co bardziej zamożne bachory, pozawijane w wielkie bety z naprędce poprzyszywanymi do nich tanimi koronkami. Za bogaczami szły do chrztu dzieci średnio zamożnych chłopów, a dopiero na samym końcu, kiedy na dworze zaczęło szarzeć, do zakrystii, rozpychając się łokciami na wszystkie strony, niczym za chlebem do Lenarczyka, ruszyła miejska biedota. Każdy chciał być pierwszy. Przed drzwiami zakrystii zrobił się taki zamęt, że do ludzi musiał wychodzić i uspokajać ich sam ksiądz Broda. Dziki, który spodziewał się, że cała ceremonia chrztu pójdzie jak po maśle, coraz bardziej niecierpliwił się i wcale nie ukrywał, że ma dość już tego czekania o suchej gębie i pustym żołądku. Oparci o chłopską furmankę, wszyscy czworo paliliśmy papierosy. Dziki przetrząsnął całą słomę na furmance w poszukiwaniu czegoś, co dałoby się z niej zwędzić i opylić u Olczakowej, ale nic takiego nie znalazł i jego humor jeszcze bardziej się pogorszył. Poweselał nieco dopiero wtedy, kiedy pod zakrystię jakaś starucha przyprowadziła dwudziestoparoletnie dziecko o ciemnym zaroście.

Ksiądz Broda miał wyraźne opory co do tego, czy ochrzcić Żyda, ale stara była najwidoczniej kobietą współczesną i musiała dać księdzu w łapę, bo kiedy oboje wracali później z kościoła, byli uśmiechnięci i stara, zwracając się do rzekomego syna, mówiła:

– Teraz, Wacku, wszyscy Niemcy razem z młynarzem Hankiem mogą pocałować cię w dupę. Masz metrykę i to jest najważniejsze. Nie zniszcz jej i pilnuj jak oka w głowie, pamiętaj.

Z zakrystii niespodziewanie wyszedł ksiądz i przyłapał mnie z ukrytym w ręce papierosem.

- A to kto jest? – zwrócił się do Mańki.
- Przyprawiliśmy go do chrztu – odparła Mańka.

Ksiądz zmierzył mnie od stóp do głowy i oznajmił kategorycznie, że mnie nie ochrzczi, bo jestem za mały i za młody na palenie papierosów.

– Jeśli on już w tym wieku pali papierosy, to co z niego wyrośnie za lat dziesięć, dajmy na to? – tu ksiądz spojrział wymownie na Dzikiego, o którym wiele się nasłuchał.

- Nie ochrzczę gnoja, niech żyje dalej w grzechu.

Broda odwrócił się i zamierzał wejść do kościoła, ale Dzikie zastąpił mu drogę:

– Za łapówki to ksiądz chrzczi, ale biednego chłopaka, który czeka tutaj pod drzwiami od paru godzin, ksiądz nazywa gnojem? Ja się pytam, dlaczego, jakim prawem? Ksiądz ubliża mojemu chrześniakowi w mojej obecności. Zobaczymy, co z tego wyniknie. Nie grozę księdzu, ale...

Na chłama wpakowaliśmy się za księdzem do zakrystii. Ksiądz nawet nie spojrzął na nas. Odwrócony do mnie plecami zapytał gniewnie, czy umiem pacierz. Mańka kiwnęła mu głową że tak, ale grubo się pomyliła. Po cichutku zmówić gdzieś w kącie albo powtórzyć za Mańką, to i owszem, ale teraz, tutaj, przed zionącym złością księdzem, zapomniałem języka w gębie. Mańka dukała za mnie, chcąc mi pomóc.

– Powtarzaj, gamoni, za mną – wołała coraz bardziej wściekła, a głos jej rósł i potężniał w pustym kościele.

Ksiądz ze złośliwą satysfakcją spojrzął na Mańkę oblaną rumieńcem wstydu. Wyglądało na to, że chciała go oszukać wmawiając, że znam cały katechizm na wrywki.

– Jak jest, tak jest, ale niech ksiądz ochrzczi tego bęcwała, bo nie może chodzić bez papierów po mieście. A nuż Niemcy go złapią? Rozłupią gnoja.

– W takim razie rodzice chrzestni zmówią za ciebie pacierz – powiedział, nie patrząc nawet na mnie.

Badowska klepała pacierze jak z płotka, aż przyjemnie było posłuchać, za to z Dzikim był kłopot, nie umiał żadnej modlitwy i Mańka za niego musiała się modlić. Wyszło na to, że przed Bogiem miałem aż dwie chrzestne matki, to znaczy jedną matkę normalnie i ojca w spódnicy z wydatnym biustem i zaokrąglonymi biodrami.

Ksiądz nasmarował mnie olejkami i wypchnął wszystkich za drzwi, sam ruszył z nami na plebanie, mruczając pod nosem, że musi zjeść obiad i jechać jeszcze za miasto do chorego. Na plebanii w niewielkim pokoiku, gdzie mieściła się kancelaria parafii, za stołem siedziała młodziutka dziewczyna. Dziewczyna była na dobrym gazie. Długą chwilę staliśmy przed barierką odgradzającą ją od nas, zanim nas dostrzegła.

- Państwo w jakiej sprawie? – spytała.

Wtedy Mańka powiedziała dziewczynie, żeby nie zadawała głupich pytań i wzięła się lepiej do pisania tego, co ona, Mańka, będzie jej dyktowała. Dziewczyna więcej słowem się nie odezwała. Rozłożyła przed sobą grubą księgę i pytająco spojrziała na Mańkę.

- Niech panienka pisze... – powiedziała Mańka i zwróciła się do Badowskiej.

- Którego mamy dzisiaj, kumo?

- Ostatni – odparła Badowska zapatrzona w księgę na stole.

– To tak... – powiedziała Mańka i dziewczyna za barierką zaczęła pisać: „Dnia trzydziestego pierwszego listopada tysiąc dziewięćsetnego roku, w tut. parafii został ochrzczony Jan Szelc, sierota, syn Stanisławy z domu Gawroń, dziecko panięskie z ojca NN.”

Zadowoleni, że już jest po wszystkim, oglądając czyściutki blankiet metryki, ruszyliśmy do domu, gdzie czekał na nas obiad połączony z kolacją oraz dwa litry buraczanego bimbrowa.

Mańka raz dwa napaliła pod kuchnią i podała do stołu wszystko, co było potrzebne, następnie sama zajęła przy nim miejsce. Po wypiciu pierwszego litra na wygłodniałe żołądki

wszyscyśmy zaczęli przekrzykiwać się nawzajem. Libacja niepostrzeżenie przeciągnęła się do późnej nocy, a ponieważ godzina policyjna w mieście zaczynała się już o dziewiątej wieczorem, Badowska z Dzikim musieli zostać u nas na noc. Badowskiej Mańka posłała na łóżku, a Dzikiemu na podłodze przy oknie, sama zaś ze mną zamierzała przemęczyć się tę jedną noc na kufrze.

Po piętnastu minutach Dziki stwierdził, że na podłodze jest mu za twardo i ledwie Mańka zgasła lampę, podniósł się z podłogi i poszedł na łóżko do mojej chrestnej matki. Długo toczyły się targi. On dawał jej dwa metry węgla w kawałkach na zimę, a ona upierała się przy trzech grysiku. W końcu Dziki ustąpił i w mieszkaniu zapanowała cisza.

Zachwalany przez Olczakową bimber musiał mi chyba zaszkodzić, bo kiedy rano wszyscy się pobudzili i na nowo zasiedli do stołu, stwierdzili, że nie ma mnie w domu. Dopiero około południa znalazła mnie sąsiadka. Leżałem w kącie podwórza na kupie popiołu koło śmietnika, w pożyczonej koszuli i ubraniu, nad którym tyle namęczyła się Mańka, żeby doprowadzić je do jakiego takiego wyglądu.

**KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU**

**ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI**